

68143

BIBLIOTEČKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ 4.

10
JADWIGA CHRZĄSZCZEWSKA

SZARE KACZĄTKO

DUŻE I MAŁE



from Caspari

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1908

54a

68 143

I



Szare kaczątko.

Wysiedziała raz kura kaczęta. Było ich dużo, bardzo dużo. Więcej nawet, niż u obu rąk macie paluszków.

Kaczęta były jedno w drugie prześliczne. Przynajmniej tak utrzymywała stara Andrzejowa, pierwsza powaga od drobiu na całą wioskę. Więc też wszyscy znając się, czy nie znając, kiwali głowami i mówili, patrząc na kaczęta:

— Prześliczne! A to się dopiero udały!

Pewnie tam było trochę przesady w tych pochwałach, lecz to już do mnie nie należy.

Że jednak nic a nic się nie znam na kaczych pięknościach, pozwólcie zatem, że wam je opiszę, a wy już sami osądźcie.

Miały więc kaczęta dzioby i nogi szerokie a płaskie, co zdawien dawna jest modą u kaczek. Idąc, kołysały się trochę w prawo lub w lewo. Nazywało się to u nich wielkim wdziękiem; ja wprawdzie przeciwnego jestem zdania, no, ale gusta bywają różne.

Ubrane też nasze kaczkki były wspaniałe: na nogach miały czerwone pończochy, a suknie z żółtego i miękkiego niby jedwab puchu.

Największą jednak zaletą tej odzieży było to, że się nie niszczyła i mamę-kurę nie kosztowała ani grosza.

Już to pociechę miała ta mama ze swoich dziatek. Dumną też była z nich i pilnowała troskliwie. Cały dzień kręciły się kacząta, to na podwórku, to przed domem. Nawet i do ogródka Andrzejowa wchodzić im pozwoliła.

Takie już miały łaski!

A jak im dogadzano w jedzeniu, ho! ho! Najpierw dostawały jajka na twardo gotowane, potem kaszę z zielskiem, kartofle z otrębami i różne tym podobne przysmaki.

Prócz tego zjadały mnóstwo tłustych robaczków. Same je sobie wyszukiwały w błocie.

Nic więc dziwnego, że kacząta w takich wygodach żyjąc, rosły lepiej, niż ciasto na drożdżach.

Stary Maciuś, kot gospodyni, przypatrując się im, ciągle ślinkę połykał. Gdyby się nie bał swej pani, pewnie już niejednej kaczuszki brakłoby na świecie.

A one, niebożątka, nie wiedziały, co im groziło! Tyle razy przechodziły koło Maciusia, drzemiącego na progu, i ani im na myśl przyszło, że chciałby którą schrupać.

Przeciwnie, myślały nawet z rozrzewnieniem wielkiem:

— Jak on to serdecznie na nas patrzy. Poczciwy Maciuś!

Kaczuszki pędziły więc życie spokojne i bez troski. A jeszcze kiedy czasami deszcz padał i na podwórku zrobiła się kałuża, to już nic im do szczęścia nie brakło.

— Teś... teś... teś... — wołały wtedy, nurzając się w błocie — teś... teś... teś...

Miało to znaczyć:

— Ach, jak nam tu przyjemnie!

Omyliłam się jednak mówiąc, że wszystkie kaczkki były szczęśliwe.

Jedna, najmniejsza, z szaremi piórkami, wyrodziła się od swoich braci i siostrzyczek.

One nie pragnęły nic więcej, tylko szczypać trawę, tylko szukać robaczków w kałużach.

A jej się zachciewało pływać po strumyku, co het za ogrodem wił się niby wąż srebrny przez łąkę i gaje olszynowe.

I z głowy jej tego zachcenia wybić nie było można.

— Chodźmy tam, na tę czystą wodę, na te fale przejrzyste — prosiła.

Rodzeństwo oburzyło się.

— Cóż to? Czy ci źle tutaj?

— Dobrze. Ale tam będzie lepiej.

— Skądże to możesz wiedzieć?

Kaczuszka podniosła łebek do góry i zamyśliła się.

Wiadomo powszechnie, iż tak zwykle czynią dzieci, nie umiejące na razie znaleźć odpowiedzi. Szukają jej gdzieś ponad głową, na suficie, w błękanie niebios, lecz najczęściej w oczach swej matki.

Kaczuchna to samo zrobiła. — Po chwili dopiero opuściła główkę, stuknęła się dziobem w piersi i rzekła:

— Czuję to... tutaj!

Tej odpowiedzi nikt a nikt nie rozumiał. Popatrzano na nią z litością i zostawiono samą, a nawet ktoś tam mruknął:

— Półgłówek.

Tymczasem półgłówek dopóty prosił, dopóty błagał, aż mama-kura, może dlatego, żeby się od tych prośb odczepić, poszła jednakże z dziatwą nad strumyk. Weszły kaczki do wody i dalej pluśkać się, dalej pływać. Nawet nurkować odrazu się nauczyły.

Takie to już natury mądre!

Nadspodziewanie strumień bardzo się całej gromadce podobał, skoro jednak mama-kura, spacerująca nad brzegiem, zagdakała na odwrót, wyskoczyły kaczuszki czempredziej z wody, strzepnęły piórkami i chętnie wróciły na podwórko.

Strumyk głęboki, przejrzysty, to prawda, ale gdzież równać mu się z kałużą? Tam tyle smacznych robaczków!

Wybór chyba nietrudny? — Naturalnie dla kaczek.

W dobrym humorze, pokwakując, kołysząc się wdzięcznie, wracała gromadka ze spaceru. — Jedna tylko szara kacuszka z żalem oglądała się za siebie.

Jejby się chciało popłynąć het daleko... daleko... w tę stronę, gdzie strumyk ginie... gdzie zielone z niebieskiem się styka.

Tam to musi być pięknie!

Więc też spytała matki-kury:

— Co jest za temi wierzbami... za gaikiem olszynowym, za łąką zieloną?

— Nie wiem, moje dziecko. Nigdy tak daleko nie odchodzę od domu... Może tam już koniec świata?

— Koniec świata! — zawołało kaczątko z przerażeniem.

— A tak. Zresztą czy ja wiem? Nic mnie to nie obchodzi. Mam przecie swoje podwórko. No... chodźmy na śniadanie.

— Zaraz, zaraz, jeszcze chciałabym dowiedzieć się, czy jest gdzie na świecie taka wielka, głęboka, bezbrzeżna woda.

— Dajże mi ty pokój z pytaniami. Może jest, może niema. Jak dorośniesz, popłyniesz w dół strumienia i zobaczysz.

Tyle tylko mogła się szara kacuszka dowiedzieć.

To było za mało.

Ciekawość czy jakieś inne, podobne uczucie aż rozpierało piersi ptaszyny.

— Kogoby tu zapytać... kogo? Ktoby mnie nauczył?

W braku innego nauczyciela zwróciła się raz do Maciusia, lecz stary kot, choć uśmiechał się słodko, coś miał takiego w oczach, tak ruszał dziwnie wąsami, że przestraszona, czemp prędzej uciekła.

Wypadkiem podczas ulewnego deszczu poznała tłustą kaczkę z sąsiedniego podwórka.

Była to gaduła, jakich mało, i zapytana, zaraz opowiadać zaczęła.

— Ho... ho... moja kochana... ty ani domyślić się możesz, jaka tam dalej jest woda... Ho... ho!...

— Jakaż? Mówcie babuniu.

— Czy mnie tylko zrozumiesz?... A to taka głęboka, taka wielka, że i końca nie widać. W pogodę błyszczy się jak... jak... Poczekaj, zaraz ci powiem jak co... — i stara kaczka szukała w myśli porównania...

— Aha, już wiem, doskonale trafiłam. Oto błyszczy się, jak smoła, którą gospodarz osie u wozów smaruje.

— Tak tylko! — zawołało szare kaczątko, zawiedzione w oczekiwaniu.

— Jeszcze ci mało? Zresztą widzisz, ja dobrze nie pamiętam w tej chwili, zapomniałam... Ale żebyś wiedziała, jakie tam kwiaty rosną przy brzegach, jakie rybki pluskają się w wodzie, jakie...

Lecz szara kaczuszka przerwała opowiadanie.

— Czemuż wy na tę wodę nie popłyniecie babuniu?

A babunia pokiwała ogonkiem.

— Hm... hm... kochanko. Gdybym chciała, mogłabym pewnie, ale widzisz, jestem już... trochę ciężka, nie z wieku, o nie, tylko z powagi... Zresztą tutaj w kałuży łatwiej mi znaleźć robaczka. No i cóż, opowiadać ci jeszcze o tej wodzie?

— Mówcie — mówcie, babuniu.

— Wiele tam ciekawych można zobaczyć rzeczy. Nad wodą stoi dom ogromny i wysoki. Dwa koła wciąż się obracają, a woda się przez nie leje i szumi czy śpiewa bez końca. Ale co takiego, nie wiem. Nigdy nie mogłam zrozumieć... no... bo nie starałam się o to.

— Ja rozumiem, ja rozumiem — zawołało kaczątko. — Czasami słyszę wyraźnie, jak coś z tej sinej dali woła i przyzywa:

— Chodź do mnie! Chodź do mnie!

Po tej rozmowie do reszty pomieszało się szarej kaczce w głowinie.

Powtarzała sobie bez ustanku:

— Muszę to wszystko zobaczyć!

Kiedy nazajutrz po zwykłej przechadzce na strumyku matka-kura zagdakała, by działwa na brzeg wyszła, nasza kaczuszka udała, że nie słyszy.

— Tylko kawałeczek dalej popłynę i wrócę — myśli sobie.

Przemyka się więc ostrożnie przy brzegu strumienia i płynie dalej. Minęła już chaty sąsiednie i sad wiśniowy, minęła brzozy z długimi, spuszczone ku ziemi gałęzmi, aż i wypłynęła na staw szeroki.

Stara kaczka mówiła prawdę.

Wszędzie daleko, gdzie spojrzeć tylko, woda i woda, zda się bez końca. A błyszczą się i świeciliby złoto.

Może to słońce zachodzące w niej się odbija? Na wodzie leżą liście szerokie i śliczne kwiaty

białe. Po brzegach cicho, łagodnie szumią trzciny. Pewnie tym szmerem, tą pieśnią — kwiaty do snu kołyszą.

W dali coś ciemnieje. Czy to góra, czy dom taki wielki?

Fur... fur... fur... trajkoczą koła i głośno niby wołają:

— Szare kaczątko, chodź do nas!

Kaczątko słyszy to, więc płynie, niepomne, że dom daleko, a ono samo, na obcych falach zbłąkane.

Już, już jest blisko tej wody, co z takim szumem i świstem gdzieś w głąb spada.

Naraz lęk dziwny, niespodziewany ogarnia małą ptaszynę. Serduszko kołacze jej w piersiach, chciałaby wrócić do siostr, do braci... czuje, że zginąć musi.

Jeszcze czas! Jeszcze wrócić pora!

Pomocuje się kaczątko z prądem, co je unosi, odepchnie łapkami wodę, i za chwilę jedną, drugą, będzie przy swoich.

Ale nie! Nie!

Więc ptaszyna myśli:

— Niech się dzieje, co chce! Niech zginę nawet! Ale przedtem zobaczę, co widzieć pragnęłam — usłyszę dobrze i zrozumiem ten głos, co wołał mnie od dawna.

I omyją mnie z brudu kałuży te srebrzyste, pieniące się fale, i orzeźwią te kryształowe płynne. Naprzód, naprzód!

Szare kaczątko nie waha się dłużej. Zniknęła trwoga.

Ptaszyna radosna, spokojna niemal, poddaje się szumiącej fali, a ona porywa ją z sobą... unosi... zalewa....

Już nic nie widać....

Czy szara kaczuszką wypłynie jeszcze kiedy?

Co to znaczy: półgłówek, otręby, bezbrzeżna woda, trzcina, prąd, niemal?

Duże i Małe.

Dawno, dawno temu, przed laty, kiedy to jeszcze elfy¹⁾ mieszkwały po lasach i gnomy²⁾ kryły się w pieczarach, kiedy wesołe chochlików³⁾ drużyny różne figle ludziom płały, w tych czasach, kiedy łąki i lasy, pola i wód głębie zaludnione były tysiącem istot uroczych i poczwar straszliwych, mieszkała sobie na wysokiej górze, w pomarańczowym gaju pewna bogini.

Miała ona dwie córki, lecz tak niepodobne jedna do drugiej, jak orzeł niepodobny jest do mrówki, lub lotna gazela⁴⁾ do nieśmiało pełzającego robaczka.

Jedna zdawała się samą siłą i wrzawą, druga — spokojem i skromnością.

I nic nie było między niemi wspólnego, prócz szlachetności i dobroci. Tylko u starszej ta dobroć objawiała się w czynach wielkich i potężnych, ta-

^{1, 2, 3)} Elfy, gnomy, chochliki — istoty bajeczne, rodzaj krasnoludków. ⁴⁾ Gazela — piękne zwierzę afrykańskie, nieco podobne do sarny.

kich, co przez długie czasy zostają w pamięci ludzkiej; u młodszej zaś w nieskończonym szeregu drobnych posług, oddawanych wszystkim i wszędzie.

Zawołała raz matka-bogini swe córki i powiada:

— Czas ubielił mi włosy i odebrał siły, pragnę więc władzę swą między was podzielić. Cóż chcecie robić? Ty pierworodna moja, mów pierwsza.

Przypadła z prośbą do kolan matki czarnowłosa córca.

— Pozwól mi dokonywać rzeczy wielkich, czynów sławnych. Pozwól mi być opiekunką bohaterów, doradczynią mężów potężnych, przyjaciółką królów! To jedyne, najgorętsze moje życzenie.

— Stanie się, jako pragniesz — powiedziała matka i zwróciła się do drugiej córki.

— A ty, moje ptaszę złotowłose, czego żadasz?

Skoczyło ptaszę i zawisło na szyi matczynej. Słodkie usteczka szepnęły:

— Oddaj mi w opiekę wszystko, co drobne, co słabe i nędzne! Niech o czynach moich nikt nie wie, prócz mnie samej!

Więc matka i tej rzekła:

— Spełni się twe życzenie! Bierz to, co wybrałaś!

I dodała:

— Idźcie teraz, córy moje, sił własnych spróbować... a pomagajcie sobie wzajemnie. Wspierajcie jedna drugą!

Na te słowa podniosła się starsza siostra od kolan matki.

— Ja nie chcę pomocy — zawołała — mnie jej nie trzeba. A zresztą jakąż pomoc dać mi może ta drobna ptaszyna, którą ja silniejszym tchnieniem w mgłę rozwiać mogę?

Cóż miała rzec młodsza? Milczała w uznaniu swej bezsilności i niemocy.

Tylko drobne usteczka wymówiły nieśmiało:

— A tak pragnęłabym ci pomódz...

Dobiegł ten szept do ucha matki.

— Pociesz się, dziecino — rzekła — i wiedz, że Wielkie na Małym się wspiera. Bohaterskie i rozgłośnie czyny, o których siostra twa marzy, są jak owe kwiaty nadmiernie wybujałe, barwą i kształtem podziw budzące. Lecz tego nie dosyć. Nam potrzebne są zastępy pracowników cichych i wytrwałych, a tak licznych, jak zboża i trawy, kłószące się po polach.

Od nich to, od tych drobnych, życie wszechświata zależy!

Idźcie teraz, córy moje, i jutro rozpocznijcie pracować. Od świtu do trzeciego zachodu słońca władzę wam daję; z chwilą gdy ostatnie blaski i łuny na niebie zagasną, spotkacie się tutaj, by zdać sobie wzajemnie ze swych czynów sprawę.

Nazajutrz skoro tylko pierwszy świt zaczął rozjaśniać mroki nocne, na kamieniu u stóp góry siadło sobie jakieś małe, niepozorne stworzonko.

Niepozorne i nikłe jak te tumany mgliste, co wieczorem nad łąkami się podnoszą, ale zręczne i ruchliwe.

Była to boginka od małych rzeczy.

— Co za cisza — szepce do siebie. — Wszyscy śpią, nawet wietrzyk do ziemi się przytulił. Ale zaraz będzie ruch, niech tylko słońce zabłyśnie, niech tylko ptaki się przebudzą. Tymczasem co tu robić? A nic, tylko czekać. Spróbuję, może zdrzemnę się trochę.

Przykrywa boginka przezroczystymi powiekami źrenice, aż tu pisk jakiś słyhać.

Mówię »słyhać«, a jednak żadne ucho ludzkie nie zauważyłoby nawet tego szelestu.

To jakaś drobniuchna, zaledwie okiem dojrzana muszka, przebudziwszy się zbyt rano, zaczęła spacerować po liściu i wpadła w dużą kroplę rosy, a skoro wpadła, zamoczyły się skrzydełka, i ani rusz, muszka wydobyć się nie może.

Więc tylko brzęczy żałośnie i o pomoc prosi, choć sama nie wie kogo.

Nadeszła pomoc. Mała boginka dmuchnęła na listek raz, drugi, rozprysła się rosa w kropelki drobniuchne, i muszka ocalała.

Jeszcze jedno tchnienie gorące, a skrzydełka już osuszone — muszka brzęczy wesoło i ulatuje w powietrze...

— Czy nie wstyd ci zajmować się takimi nędznymi sprawami? — zapytał głos jakiś.

Obejrzała się boginka i spotkała wzgardliwe starszej siostry wejrzenie.

Wspaniała to była osoba — i wysoka i rosła. Jedno spojrzenie rzucone na nią wystarczało, aby przekonać się, iż poziomemi rzeczami nie trudziła

się wcale. Szmaragdy i rubiny błyszczały na jej szatach, brylanty w koronie.

— Jak się masz, siostrzyczko — serdecznie zawołała mała boginka. — Przybyłaś tak nagle, nic nie słyszałam.

— Nie słyszałaś... to dziwne... Mnie przecie, skoro się tylko ukażę, i widzieć i słyszeć można.

Mówiąc to, postąpiła kilka kroków, a ziemia aż zatrzęsła się od silnego chodu królowej.

Mała boginka podniosła dłonie do uszu.

— Słyszę już, słyszę doskonale... Tylko widzisz, siostrzyczko, przed chwilą byłam tak zajęta. Biedna muszka niewątpliwie zginęłaby bez mojej pomocy.

— To i cóż, wielka mi rzecz... O jedną muchę byłoby mniej na świecie.

— Wielka czy mała, to do mnie nie należy — żywo odcięła młodsza siostra. — A to pewne, że każdemu własne życie jest drogie. Zresztą... kto wie, może i ta muszka ma jakiś cel przed sobą, jakieś zadanie do spełnienia... Będę o niej pamiętała... a poznam ją wszędzie, bo na złotawem skrzydełku ma plamkę rdzawą.

Wspaniała bogini już... już otwierała usta, by siostrze mądrej a przekonywającej udzielić odpowiedzi, lecz z poza góry strzelił pierwszy promyk słońca i przerwał rozmowę.

Było to umówione hasło do zaczęcia pracy.

Rozwinęły boginki skrzydła i uleciały w przestworza, złote od blasków słonecznych.

Tylko starsza z dali rzuciła wołanie.

— A pamiętaj, po trzech dniach tutaj spotkać się mamy!

Nadszedł czas oznaczony. O schyłku dnia trzeciego siostry boginki znowu były razem.

Gdy zasiadły obok siebie, pod starszą aż ziemia jęknęła, skoro zaś młodsza wsparła się na okrytym pąkami głogu, co ze skalnej wyglądała szczeliny, to od pieszczoty i ciepła dotknięcia wszystkie wnet rozwinęły się róże.

Obiedwie boginki widocznie były zmęczone, lecz z oczu biła im radość, jaśniało zadowolenie, to zadowolenie, jakie daje pożyteczna praca.

— Zaczynaj — rzekła starsza. — Ja wypocząć muszę. Ty pewnie nie miałaś czem się znużyć.

— Czy koniecznie mówić trzeba? — cicho spytała młodsza. — Wolałabym milczeć...

— Wiesz przecie, iż taki jest rozkaz matki.

— Prawda. Lecz przykro bardzo mówić o sobie...

— Jak komu, to zależy od tego, co zrobiliśmy. Jedne czyny są cieniem ulotnym, drugie wieczną sławą. No, czekam...

Więc mała boginka zaczęła:

— W chwilę po naszym rozstaniu zobaczyłam staruszkę, schylonego nad łanem żyta. Za ciężka to jednak na słabe siły była praca.

Sierp wysuwał się ze zmęczonej ręki, pot wielkimi kroplami występował na skronie, a staruszek przysiadł i odpoczywał.

Lecz ni jedno słowo narzekania do mnie nie doszło. Oczy starca były pogodne, a usta szeptały:

— Ściel się, ściel, ty chlebie nasz złoty. Będzie go dosyć, nakarmimy się nim wszyscy. I sieroty bezdomne i bydlątka i ptaki. Byleby tylko w pogodę Bóg zebrać plon dozwolił.

Usłyszawszy to, skorzystałam z chwili, gdy staruszek zdrzemnął się trochę, chwyciłam za sierp i w mig cały łąn leżał na ziemi.

Oj, nie zapomnę tej radości, nie zapomnę.

Staruszek przecierał oczy, sądząc, że śni chyba. Ale to była prawda. Więc padł na kolana i modlił się za tego, który mu dopomógł.

Potem widziałam gromadkę dzieci, bawiących się na łące, tylko jedno niemowlę krzyczało. Położyli je w cieniu na trawie, a ono przewróciwszy się, rączkę przygniotło boleśnie. Ogólna wrzawa głuszyła płacz biedactwa, więc podniosłam je i dopóty tuliłam, dopóty huśtałam, aż mi usnęło w objęciu.

Nieco dalej spotkałam matkę krzyczącego malca. Niosła ogromny pęk suchych gałęzi na plecach i cicho pod ciężarem stękała.

Przysunęłam się do niej niepostrzeżenie, objęłam ramieniem i we dwie przyniosłyśmy naręcze do chaty.

Dziwiła się kobiecina, czemu jej tak nagle ulżyło, a ja w duszy śmiałam się... śmiałam i cieszyłam...

Tak, siostrzyczko, roboty było dużo, to popchnąć jakiś wóz ładowny, którego biedny koń nie mógł uciągnąć, to muchy z ran zwierzęcia opędzić, lub też podnieść kwiat złamany... i tak

dalej... tak dalej... Ale ja pewnie za długo mówię. Teraz na ciebie kolej.

— Czy już skończyłaś?

Uśmiechnęła się mała boginka.

— Gdzież tam. Tyle jeszcze rzeczy byłoby do opowiadania, bo jak wiesz przecie, matka oddała mi w opiekę wszystko, co słabe, drobne, co potrzebuje pomocy. A tego na świecie najwięcej.

Wczoraj naprzykład chmurzyło się, musiałam więc spieszenie pozamykać kielichy kwiatów, bo nużby się pyłek zamoczył.

— To i cóżby się stało? — spytała siostra.

— Jakto co?... kwiatów na rok przyszły nie byłoby wcale... Z motylami miałam też biedy dużo, nim je wszystkie w bezpieczne pochowałam kąty. Taki to drobiazg niesforny. A już émy to mi dokuczyły nawet.

Wyobraź sobie, siostrzyczko, ani sposób odpedzić je od światła. Prosto w płomień lecą. Przypieczę sobie która skrzydło z jednej strony, to nic, drugie nadstawia. Spali się tego maleństwa dziesięć, dwadzieścia, to inne nadlatują... Ale jednak — skończyła tryumfalnie boginka — udało mi się kilka z nich ocalić.

— Mogłaś ocalić wszystkie. Dość było światło zagasić.

— Jak ty się nic a nic nie znasz na tych rzeczach, to aż dziwne... Zgasić światło!... Spróbuj no, tego nikt nie dokaże. Zgasisz jedno, sto innych zabłyśnie. Póki światła, póty i życia na ziemi. Ja poradziłam sobie inaczej. Poprosiłam

wietrzyka o pomoc i oboje dmuchaliśmy tak długo, aż się wszystkie émy rozleciały... Tylko niestety.. powróciły za chwilę.

Roześmiała się starsza siostra.

— A widzisz, taka to i twoja robota. Żal mi cię doprawdy... No, cóż jeszcze powiesz mi o swych bohaterskich czynach?

— Już nic, ani słowa nawet — odparła urażona mała boginka. Teraz kolej na ciebie.

— Dobrze. Otóż jak ci wiadomo, ja błahemi rzeczami zajmować się nie lubię. Chronić pyłek kwiatowy od zamoczenia, odpędzać émy od ognia, kosić łąkę, usypiać płaczące dzieci, o nie... to nie dla mnie robota... Mnie trzeba tego, co wielkie, wzniosłe i potężne.

— A jednak, siostrzyczko, czy pamiętasz słowa matki: »Wielkie na Małym często się wspiera«.

— Pamiętam, tylko...

— Tylko co?... Nie wierzysz matce?...

— Wierzę, ale... — i wspaniała bogini zająknęła się, nie wiedząc, co odpowiedzieć, więc też zagadała nieprzyjemną sprawę.

— Nie spierajmy się. Posłuchaj lepiej, co przez te dni zrobiłam.

Tam w tej stronie, gdzie słońce zachodzi, stoi zamek wielki.

Mury wysokie otaczają go zewsząd, przed murami jest rów głęboki, a w rowie pełno wody. Zdawałoby się, że do zamku nikt dostać się nie może, a jednak przyszli rozbójnicy, otoczyli zamek i chmury strzał sypać nań zaczęli.

Obleżeni bronili się mężnie, lecz wkońcu sił im zabrakło i zguba była już nieuchronna, gdy ja z pomocą nadbiegłam.

Niewidzialna, niepochwytana, tu naprawiałam wyłomy, tam strzały przejmowałam w locie, owdzie spychałam na oblegających potężne skał odłamy, i ciągle i wszędzie szeptałam:

— »Wytrwajcie! Wytrwajcie!«

Wzruszyła się mała boginka.

— To było piękne! — zawołała.

— Nawet bardzo piękne — poprawiła starsza. — Słuszna twoja pochwała i w zupełności ją przyjmuję.

— Cóż się później stało?

— Chociaż wielu rozbójników poległo, reszta nie odstępowała od murów, poradziłam więc dowódcy zamku, by wysłał gołębia z listem do sąsiada, prosząc o pomoc przeciw wrogom. Usłuchano mej rady, pomoc nadeszła, a rozbójnicy pierzchnęli.

— Tak!... — przeciągle zawołała mała boginka — wysłali gołębia... A jakże on wyglądał, siostrzyczko?

— Czemu się o to pytasz? Głowę i grzbiet miał białe, tylko skrzydła mieniły mu się tęczowo.

— Ah! więc to ten sam, ten sam mój gołąb ocalony! Ja go spostrzegłam, leciał tak szybko jak strzała, a w dziobku niósł liścik mały.

Jastrząb okrutny nań godził, lecz ja zamieniłam się w chmurkę srebrną i zakryłam przed napastnikiem powietrznego pocztarka.

Widziałam, jak gołębek spuścił się na balkon potężnego zamku, a w chwilę później wyjeżdżał stamtąd hufiec rycerzy.

Ach, siostró droga, jakże się cieszę, że ci pomódz mogłam. Jak cieszę!

Niemile były te słowa dumnej bogini, lecz tylko lekkim zmarszczeniem brwi dała to poznać i mówiła dalej:

— Wprost z obleżonego zamku poleciałam na morze. Burza straszna tam wrzała. Wody niebios i wody ziemi walczyły z sobą zaciekle, bo ku chmurom skakały bałwany niby góra wysokie, a chmury były je strugami wody i prażyły ogniami piorunów.

Ryczało z wściekłości morze, pieniło się, dysząc niby zwierz potężny. Ale zaciekłość napadu nie słabła. Sto razy odepchnięte, sto razy wracało znowu.

Nie wiedziałam, po czyjej stronie słuszość w tej walce leży, więc nie spiesząc z pomocą byłam niewidzialnym a bezczynnym świadkiem, aż dopóki wśród świstu, huków i wycia nie dobiegły mnie głucho jakieś jęki.

Patrząc, przebijam wzrokiem ciemności, a tam wśród fal, gniewem dyszących, widać jakąś nędzną, małą łupinę. Łupinę pełną ludzi, a rozbrzmiewającą płaczem i jękiem.

Jęki te płynęły z głębi statku, gdzie schronili się słabi, ci wszyscy, co cierpieć z godnością nie umieli.

Na zniszczonym pokładzie kręciło się kilka ludzkich postaci. Ktoś przywiązany liną do zrębu

masztu wydawał rozkazy, spełniane natychmiast przez załogę, życie za każdym narażającą stąpieniem.

Lecz oni zdawali się nie wiedzieć o tem.

Wpół nadzy, ogłuszeni hukami piorunów, zalewani bałwanami, oślepiani węzami błyskawic, walczyli mężnie, choć zdawało się, że ratunku niema.

Była to walka nie tylko o życie, lecz i o tę nawpół strzaskaną łupinę, którą kochali bardzo.

Już teraz wiedziałam, komu pomagać trzeba, i zaopiekowałam się tonącym okrętem.

Była to praca nie na żarty, musiałam dobrze nauwijać się, naspieszyć! To podtrzymywałam chyłący się statek, to zwracałam przeciw biegnącej fali, lub wreszcie korzystając z rzadkich, sekundo- wych chwil ciszy, parlałam okręt naprzód.

Na pokładzie odrazu zrozumiano, że coś dziwnego z nimi się dzieje, że jakaś siła potężna wzięła ich skazańców w opiekę, więc nie ustając w pracy na chwilę, ślali ku niebu modły dziękczynne.

Marynarze chcieli wpłynąć do poblizkiego portu, tam też ich prowadził, lecz najważniejsza rzecz pozostała do zrobienia. Niedaleko wejścia rzędy skał ostrych jak igły czyhają na swe ofiary.

W dzień i przy pogodzie prześlizgiwać się tam trudno — cóż dopiero w nocy. Wystawiano więc latarnię, która co wieczór zapalana, rzuca na fale strumienie światła i przed niebezpieczeństwem ostrzega.

Tej nocy burzliwej jednak daremnie wypatrywałam dobroczynnego płomyka — nie było go wi-
dać — a tu już się zbliżamy, lada chwila okręt
o rafy uderzy... trwoga przenika najdzielniejszych
serca...

Wtem... o radości! na szczycie wysokiej la-
tarni błyska światło zbawcze, a takie jasne, po-
godne, jak nigdy!

Okręt był ocalony i niezadługo...

Lecz mała boginka przerwała opowiadanie.

Zarumieniona, z rozbłysłymi oczyma skoczyła
siostrze na szyję.

— Ach! jakżem szczęśliwa! — wołała... —
To tak się stało. Stary latarnik zachorzał nagle,
a małe mieszkające z nim ośmioletnie chłopię
nie śmiało w tę noc burzliwą piąć się na szczyt
latarni, lecz ja szeptałam i szeptałam mu wciąż
do ucha:

— Idź, zapal światło! Idź! To twój obo-
wiązek.

Usłuchało mnie chłopię i choć z drżeniem
wielkiem, lecz po stromych schodach wspinać się
zaczęło.

Co za szczęście niezrównane... co za szczę-
ście, że i ja choć trochę, choć odrobinę pomódz
ci mogłam!

I tym razem wyniosła bogini ni słowa swej
siostrze nie odrzekła na jej okrzyki radosne, lecz
na dumne, brylantami zwieńczone czoło spadała
chmura zadumy.

Ale otrząsnęła się z niej i mówiła znowu
tylko jakby ciszej, jakby pokorniej niż wprzód

— Zmęczona widokiem walki rozhukanych żywiołów, rozwinęłam skrzydła i uleciałam daleko, za góry i morza.

Znalazłam się nad pustynią, zanurzoną w kąpieli promieni słonecznych.

Wszystko tam było niby złoto błyszczące: i powietrze iskier pełne i piasek, co palił wędrowców stopy. Jak okiem zasięgnąć nigdzie ni śladu drzewa, budynku, lub jakiegokolwiek przedżarem schronienia.

A po tem złocie, w tych blaskach ciągnęła karawana.

Ludzie i zwierzęta wynędniali, do widm podobni, od kilku dni cierpieli mękę pragnienia.

Ale szli naprzód, lub raczej wlekli się krok za krokiem.

Nikt tam nie szemrał między nimi, nikt nie narzekał, nie obwiniał innych.

— Wola Boża — mówili.

Jeden chłopiec młody, może szesnastoletni, niósł na ręku małą siostrzyczkę i fałdami burnusa od słońca zasłaniał.

— Pić... pić — jęczało dziecko.

— Poczekaj — prosił brat — poczekaj chwilę, ptaszyno moja. Bądź cierpliwa.

Chciała być cierpliwą, lecz anioł śmierci niecierpliwił się i nad głową dziewczynki wyciągał miecz płomienny.

Czy brat to przeczuł, nie wiem, bo nagle chwycił za jatagan¹⁾, wiszący u boku.

¹⁾ Jatagan — krzywa szabla turecka.

— Chyba cię krwią moją napoję... — zawołał.

Nie dopuścili tego starsi i pocieszali chłopca i mówili, że ratunek musi być blisko.

Był blisko. Wzruszona nędzą i spokojem nieszczęśliwych, postanowiłam im pomóc.

Tchnienie moje niby wietrzyk chłodziło ich pierś rozpaloną, skrzydła cień na głowy rzucały, a dłoń prowadziła w stronę, kędy rosły małe gaik krzewów o soku chłodzącym i ożywczym.

Wystarczyło go do napojenia spragnionych, wystarczyło i zostało nawet, bo upominali się wzajemnie:

— Pamiętajmy o tych, którzy po nas przyjść mogą...

— I tak siostró moja, ocaliłam setkę ludzi i zwierząt od zagłady, ocaliłam bogactwa cenne, bo ładunek zamorskich leków, które chorym zdrowie wrócić miały.

A wszystko to spełniłam sama, bez niczyjej pomocy.

Umilkła i spojrzała w twarz małej boginki.

Lecz twarz ta zwrócona jest ku niebu, rozgorzałemu łuną zachodu.

— O Boże, dzięki Ci — szepczą drobne usta. — Natchnąłeś mnie myślą, by zebrać rozsypane ziarna i ponieść daleko na ową pustynię piaszczystą, i strzedz od promieni słońca, i podlewać łzami własnymi, i pilnować, dopóki w krzewy się nie rozrosły... Dzięki ci, o Panie! przez Ciebie

to ja nędzna, ja drobna pomódz mogłam wielkiemu dziełu!

Umilkła.

A tymczasem na niebie gasną blaski i cień wieczorny zaczyna opływać ziemię.

Władza boginek skończyła się, lecz one w zadumę głęboką popadłszy, zapomniały o tem i patrzą w dal, kędy gościniec niknie w gęstniejących coraz więcej mrokach.

Coś tam czernieje, rusza się i zbliża.

To orszak podróżnych.

Objuczone i długą drogą zmęczone konie stąpają zwolna, jeźdźcy chylą ku siodłom blade twarze, a wszyscy spieszą w stronę lasu, by na miękkim mchu wypocząć.

Mijają przytulone do siebie siostry, a starsza szepcze:

— Poznają ich, to moi podróżni. Ten blady chłopiec, jadący na czele, to ów bohater, który małą siostrzyczkę krwią własną chciał napoić.

Już orszak zbliżył się do lasu, lecz któż to z poza skały się wysuwa?

Maż jakiś olbrzymi a straszny, o dzikim wejrzeniu. W rękę ściska nóż, szabla wisi mu u boku.

Ściga wzrokiem jadących, a potem chyląc się do tych, którzy za nim się kryją, mówi:

— Skoro zupełny mrok nastąpi, a oni do snu się ułożą... napadniemy...

Siostry-boginki słyszą te słowa, widzą, co podróżnym zagraża, lecz nic im pomódz nie mogą, bo z chwilą, gdy kula słoneczna poza kraj widno-

kręgu spłynęła, ich moc i władza skończyły się zupełnie.

Bezradne, strwożone, szepczą zbielełemi usty:
— Zginą, zginą nieszczęśliwi!

Stoją zbójcy i czekają, a nad nimi w powietrzu brzęczą i tańczą roje muszek drobniuchnych.

Jedna z nich, najmniejsza, niedojrzana prawie, siada na powiece olbrzymiego rozbójnika i cieńsze niż pajęczyna żądło wraz z jadu kropelką w oko mu zapuszcza.

Krzyknął ukłuty, nietyle z bólu co z trwogi, bo nagle ciemna noc spadła mu na oko, na to oko, co przed chwilą śledziło bliźnich i gotowało im zgubę.

A muszka tymczasem, leciutka, niepochwytana, na drugim oku spoczęła i drugie ukłucie zadała.

Już nie krzyk, lecz jakieś wycie straszliwe wydobyło się z piersi zbója.

— Oślepiłem! oślepiłem! — jęczał. — Ratunku. Pomocy!

Usłyszano to wołanie w gęstwinie leśnej.

— Tam ktoś cierpi — wykrzyknął blady chłopiec. — Spieszmy mu na ratunek, bracia!

I podróżnicy, niepomni trudów doznanych, niepomni zmęczenia lub tego, że im samym niebezpieczeństwo grozić mogło, pobiegli za okrzykiem rozpaczliwym.

W wędrowniczych jukach znalazły się maści i balsamy, opatrzone jęczącego przywódcę — cieśzono go, że wzrok odzyska.

I oto słabi, bezsilni zwyciężyli potężnych i uzbrojonych. Zwyciężyli miłością.

Ubiegła godzina. U stóp podróżników klęczeli zbójcy i z płaczem wyznawali swe winy.

Niesami tylko zbójcy płakali.

Na kamieniu pod skałą starsza siostra tuli do młodszej twarz od łez wilgotną i szepcze:

— Poznałam tę muszkę, niegdyś ocaloną przez ciebie. O, widzę teraz, że i ona miała swą drogę wytkniętą, swój cel do spełnienia.

Wierzę, iż Wielkie na Małym się wspiera.

Co to znaczy: bohater, zastępy pracowników, poziome rzeczy, tumany, cień ulotny, pocztarek, burnus, pustynia, balsam?

